

BĄDŹ CO BĄDŹ



Przez niedomknięte drzwi

„Łatwiej dostrzec źdźbło w oku bliźniego niż belkę we własnym” – głosi staropolskie przysłowie, którego zastosowanie jest niesłychanie szerokie, częste i niebezpieczne. Jak można odeprzeć zarzut o nadmierny krytycyzm, skoro sama istota tego ostrego zarzutu jest przejawem aktywnego krytycyzmu?

IGOR WIECZOREK

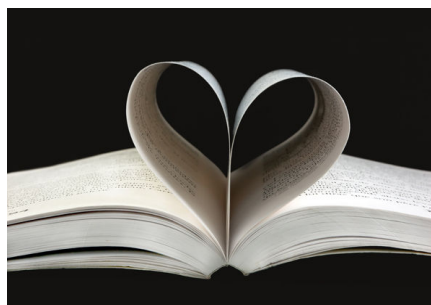
Kiedy Theodore Roszak, amerykański krytyk społeczny i pisarz polskiego pochodzenia, po raz pierwszy użył w 1969 roku słowa „kontrkultura” dla określenia ogarniającej USA i Europę Zachodnią rewolucji kulturalno-obyczajowo-artystycznej, chyba nie myślał o tym, że chociaż słowo jest nowe, to jednak jego znaczenie dotyczy od dawna znanego i kłopotliwego zjawiska, jakim jest formalizacja kontestacji. Tak bowiem dziwnie się składa, że ewolucja kultury polega, między innymi, na rutynizacji charyzmy, organizacji chaosu i nobilitacji sprzeciwu. Zanim jeszcze długowłosi mesjasze podnieśli swoje idee do rangi paradygmatu, zanim osławiona kontrkultura nabrała cech popkultury i zanim Theodore Roszak stał się gwiazdą massmediów, ludzkość przeżyła niejedną, bardzo podobną woltę. Wystarczy wspomnieć Romantyzm, który w imię postępu i wyzwolenia jednostki zunifikował gusta, potrzeby i środki wyrazu. Wszyscy byli wtedy zbuntowani, samotni i uczuciowi, a jeśli ktoś taki nie był, to oskarżano go o to, że jest pogrobowcem Oświecenia.

Kryzys nowożytnej kontrkultury nie jest więc niczym niezwykłym. Pewną nowością jest to, że rzadko się o nim wspomina. Wiele wskazuje na to, że na postkonkulturowym pustkowiu rozkwitła antykultura, jakieś imperium obłudy,

stagnacji i bezmyślności, w którym nie chodzi o słowa, idee, obrazy i dźwięki, ale o ekonomiczną tudzież polityczną dominację. W rytmie wciąż młodego rock and rolla, pod maską surrealizmu, pod szyldem poezji Ginsberga, pod pozorami arcyzmu, toczy się proces rozkładu prastarego ducha innowacji. Wartości humanistyczne nie tylko wychodzą z mody, ale stają się kulą u nogi coraz bardziej bezdusznego show-biznesu. Ciekawe, czym to się skończy? A może to się nie skończy? Może tak już zostanie? Może wszystkie nasze wizje Romantyzmu, kultury Dwudziestolecia i kontrkulturowe ambicje okazały się ślepą uliczką lub jakąś halucynacją? Jedno wydaje się pewne – na tle tej jałowej kultury, w którą brniemy na oślep, tradycyjna kultura narodowa znowu staje się atrakcyjna. Ta, co nieco zaniedbana i wzgardzona przyjaciółka, nabiera nowych rumieńców.

Z zapartym tchem przeczytałem opublikowany niedawno nakładem wydawnictwa „Black Unicorn” zbiór opowiadań pt. „Przez niedomknięte drzwi” autorstwa wrocławskiej pisarki, Aleksandry Zofii Pijanowskiej-Adamczyk. Bardzo dawno nie czytałem tak rzetelnie i ciekawie napisanych opowiadań. Ich lektura skłoniła mnie do refleksji nad istotą i społeczną funkcją sztuki słowa, a optymistyczne przesłanie obudziło nadzieję na to, że literatura nie musi być uwikłana w socjotechniczne rozgrywki i cały ten ponowoczesny, postkulturowy bałagan.

Tematem tych opowiadań jest Druga Wojna Światowa, wojenne i powojenne przygody i perypetie autorki, żołnierki Armii Krajowej, poetki i polonistki, która całe swoje życie poświęciła ocaleniu i krzewieniu sztuki słowa. Autorka nie moralizuje, nie karci i nie rozpacza nad złym stanem kultury ojczystej. Jej wiara w moc tej kultury wydaje się bezgraniczna, ale nie fanatyczna. Ta trochę niedoceniona, jedyna w swoim rodzaju, podziwu godna pisarka, jest przekonana o tym, że unikalny charakter i niepospolite piękno naszej literackiej tradycji pozwala nam śmiało spoglądać w bliżej nieokreśloną i niepokojącą przyszłość. Oby ten niebezpieczny, umiarkowany optymizm udzielił się wszystkim pisarzom, krytykom i czytelnikom, którzy mają już dosyć jazgotliwej komercji, zakamuflowanej propagandy i głupiego kultu kontrkultury.



Szopka w Bardzie

(Dokończenie ze strony 9)

Wtedy Jan, mimo że szopka cieszyła się niesłychanym wprost powodzeniem, postanowił zniszczyć swoje dzieło. Uważał że w obecnym stanie nie oddawało zawartego w nim przesłania, a wręcz zostało zafałszowane i w dodatku fatalnie zniekształcone. Pewnego dnia zwierzył się ze swojego pomysłu Marcinowi, który stanowczo zaprotestował i przedstawił plan potajemnego, nocnego

demontażu ekspozycji, wywiezienia i ukrycia szopki w opuszczonej, od lat nieczynnej kopalni pomiędzy Iglicą a Dębową Górą niedaleko Ławicy pod Kłodzkiem, bądź też zupełnie gdzie indziej. Stopniowo przystąpiono do opracowania planu, który dopieszczone w najdrobniejszych szczegółach. Do całego tego dosyć ryzykowanego przedsięwzięcia dopuszczeni zostali jeszcze jedynie Aszot Matrosjan – Ormianin, przyjaciel Marcina, człowiek Kochający ryzyko i odważny oraz jego zaufany kolega – Misza Zapotoczny. Akcją postanowiono przeprowadzić w nocy po dorocznym festynie, który miał się odbyć we wrześniu w parku nad Nysą. Dwa dni przed festynem, na parkingu przylegającym do domu mieszczącego szopkę, usytuowano wypożyczoną od kolegi Aszota, krytą ciężarówką marki Mercedes na niemieckich numerach rejestracyjnych. Podczas festynu Zawisłak został dokumentnie upity, uspiomy i wywieziony w okolice Radkowa, gdzie pozostawiono go na łące w towarzystwie trzech litrowych butelek żołądkowej gorzkiej. Wcześniej pozbawiony został kluczy od budynku mieszczącego szopkę, a dokonał tego właśnie ów Misza „przypadkowo spotkany” na festynie, serdeczny „kompan do wypitki i jeleń”, tak przynajmniej myślał Zawisłak. Ani przez moment nie podejrzewał, że hojnie stawiający napitki odesski Wrocławianin ma w tym jakiś swój interes. Nie zauważył również, że przygodny kompan szwarcuje się jak może i nie bierze alkoholu do ust, z mistrzostwem markując picie i bełkotliwą mową zdeklarowanego pijaczyska. Od chwili gdy weszli w posiadanie klucza Jan, Marcin i Aszot natychmiast przystąpili do demontażu szopki. Grubo po północy chyłkiem przeniesli troskliwie zabezpieczone styropianem i folią poszczególne kwatery i pozostałe elementy konstrukcji do samochodu, spięli elastycznymi taśmami i wywieźli w siną dal.

Po trzech dniach pojawił się w Bardzie przepity, mocno sfatygowany i obdarty Zawisłak i plótł coś o Wehrwolffie, który miał go porwać, upić i wozić po całym Śląsku, w każdym mijanym miasteczku obdarowując go butelką żołądkowej gorzkiej. W jakiś czas potem Zawisłaka aresztowano i oskarżono o niedopilnowanie powierzonego mu mienia znacznej wartości. Nie na wiele się to zdało. Stary, przeфарbowany na opozycjonistę komuch wyszedł po trzech miesiącach, wybroniony przez znajomego psychiatrę, który stwierdził że „nie miał on wówczas zdolności do rozpoznania własnych czynów z racji przewlekłej choroby alkoholowej”. Miejscowi, tłumiąc na wszelki wypadek głos, powiadali że Zawisłak szopkę sprzedał Niemcom, gdyż wcześniej na parkingu widziano niemiecką ciężarówkę. Inni z kolei podejrzewali go, o wywiezienie szopki do Wrocławia, zdekompletowanie jej i stopniową wyprzedzą na giełdzie staroci przy ulicy Gnieźnierskiej, gdzie ponoć ktoś miał zakupić kaseton ze scenami z 1945 roku. Jak wszakże było naprawdę, wiedzą tylko bohaterowie tej historii.

a